

The background of the cover is a dark, textured red, resembling a dragon's scale or a piece of heavy, draped fabric. In the lower half, a large, dark, metallic sword with intricate, gothic-style carvings is visible, its blade pointing towards the bottom right. The title 'DIABLO' is at the top in a large, golden, serif font with a metallic sheen and a registered trademark symbol. Below it, 'IMMORTAL' is written in a smaller, white, serif font with a trademark symbol.

DIABLO®  
IMMORTAL™

Instytut

KRÓTKIE  
OPWIADANIE

Tekst

RYAN QUINN

Ilustracje

SANGSØØ JEØNG

Redakcja

CHLØE FRABØNI

Konsultacja merytoryczna

MADI BUCKINGHAM, IAN LANDA-BEAVERS

Konsultacja artystyczna

MAC SMITH,  
SEBASTIAN STĘPIEŃ

Produkcja

BRIANNE MESSINA,  
CARLØS RENTA

Projekt

CØREY PETERSCHMIDT

Specjalne podziękowania

ØTIS BLUM, JUSTIN DYE, SCØTT SHICØFF,  
MATTHEW BERGER ØRAZ ZESPØŁ TWØRCØW DIABLØ  
IMMØRTAL - ØBECNYCH I DAWNYCH - ZA  
WPROWADZENIE ØWIEØEJ KRWI DØ SANKTUARIUM.

Przekład polski

ADRIAN WAJER

Redakcja

MAŁGØRZATA KØCZANSKA

Redakcja merytoryczna

ØLGA KUBIS

**BILZARD**  
ENTERTAINMENT

# Instynkt



zmierzchu wschodni Królewski Port zaczynał pustoszeć. Alodia przywykła, że miasto wieczorami stawało się niegościnne, jednak wciąż jej to przeszkadzało.

Pewnym krokiem przemierzała ulicę, która przypominała bardziej tunel na świeżym powietrzu – była ciasna i opadała bez końca w ciemnościach. Po obu stronach ciągnęły się stare zwilgotniałe domy z drewna, budowane coraz gęściej i w coraz mniejszych rozmiarach, wręcz niemożliwie małych. Dalej znajdowały się już tylko rudery nędzarzy i biedaków.

Zabudowa przy Alei Lamentów dobrze ukrywała ten rejon przed resztą miasta. Alodia mogła przynajmniej poczuć tu zapach oceanu, choć go nie widziała. Z doków dochodziły krzyki i przekleństwa oraz charakterystyczny smród. Większość zakrętów prowadziła w ślepe zaułki. Walające się ryby poruszały smętnie pyskami, dogorywając na ziemi.



Jedyną zaletą slumsów Królewskiego Portu było to, że nikogo nie obchodziło, co się tu robiło. Alodia podążała za kuzynem po omszałym i pokrytym pleśnią bruku, ale nie próbowała się zbliżyć. Wolała zachować dystans.

– Pospiesz się – mruknął Boyce. Wydłużył krok, ale nawet się nie obejrzał na krewną, ani *wciąż* nie wyjawiał, dokąd ją prowadzi.

Boyce, bliżej spokrewniony z rodziną, był starszy i wychudzony, przez co jego nos, tak dumnie zadarty i wielki, wydawał się niemal przesłaniać mu twarz. Miał na sobie płaszcz wystarczająco duży, by ukryć szeroki miecz. Jasne i cienkie włosy Alodii były spięte ciasno. Założyła też swoje brzydkie rękawiczki. Oboje wyszykowali się na rozliczenie.

Ze wszystkiego, co robiła dla rodziny w Królewskim Porcie, najmniej lubiła rozliczać ludzi.

Jej praca była organizacyjną harówką. Przygotowywanie woźniców do dostaw, upewnianie się, że wiedzą, które skrzynie otworzyć, a które zapieczętować, i za ile przekupić strażnika, jeśli zostaną przyłapani... Alodia znała się na szczegółach, ale przez ich natłok pod koniec dnia czuła się wycieńczona. Mimo to zapłata była godziwa. I choć treść podrabianych listów przewozowych nie miała żadnego sensu, Alodia mogła skończyć wcześniej, o ile sprawnie się uporała z obowiązkami. Nudę codziennej rutyny przełamywała, urozmaicając sobie wieczory. Na początku roku ona i Linn potwornie się upiły i napisały krowią krwią „CO ŁASKA” na skórzanym obiciu jednego z powozów rodziny.

Następnego ranka pojazd znów wyglądał nieskazitelnie. Nikogo nie ukarano, nikt nawet o tym nie wspomniał. Alodia śmiała się w duchu, gdy godzinami wyobrażała sobie starą matkę Boyce'a i matronę rodziny, która z twarzą wykrzywioną jak śruba, nakazywała pracze zrobić porządek i okraszała rozkazy litanią przekleństw.

Wspólniczka Alodii, Linn, zbyt długo była jej jedyną przyjaciółką. Alodia nie potrafiła powiedzieć, co właściwie je zbliżyło, ale wiedziała, co trzymało je blisko siebie: Linn miała duszę poetki. Pracowała w swoim sklepiku od rana do nocy, ale dbała też o to, aby obie zawsze miały najlepsze jedwabie do noszenia. Alodia jej zazdrościła. Linn nie należała do rodziny. Nie musiała nikogo rozliczać.

Rozliczano tylko najgorszy typ ludzi. Pijawki. Najpierw się zadłużali, *potem* pożyczali, a *potem* próbowali wywinąć się od płacenia.

Do tego Alodia zawsze musiała bawić się w negocjatora przy rozliczaniu

pijawek. Jej kuzyni często przesadzali, więc to na nią spadało ustalanie ostatecznych terminów i kwot oraz uspokajanie obaw, podczas gdy chłopcy tupali nogami i robili bałagan. Pomagała pijawkom, żeby mogły pomóc samym, zanim spotka je krzywda. Nawet jeśli większość na to zasługiwała.

Cały ten proceder – a zwłaszcza potrzebę jego stosowania – uważała za haniebną. Dlaczego ludzie nie byli po prostu lepsi?

Boyce poprowadził ich w dół Nieogrodu. Co kilka sekund skręcali pod różnymi kątami, a labirynt z drewna i kamienia dławił ścieżkę wokół nich. Jeśli ktoś patrzył, to Alodia i tak nie mogłaby go dostrzec przez brud pokrywający okna. Miało to sens, ludzie celowo nie myli szyb. Wiedziała, że po drugiej stronie dzieją się podłe rzeczy.

Alodia czuła się zagubiona i miała lekkie mdłości.

– Kto jest pijawką? – zapytała Boyce'a.

Oczywiście się nie odwrócił ani nie raczył odpowiedzieć. Zniknął za rogiem.

Gdy sama wyszła zza węgła, zobaczyła kuzyna grzebiącego za pazuchą płaszcza. Wreszcie stanął. Znajdowali się przed drzwiami obskurnej, brązowej kamienicy, którą dobrze znała...

Alodia zapomniała o tysiącu irytujących drobiazgów, które dusiły jej uwagę przez cały wieczór. Serce jej zamarło, poczuła ciężar w dołku. W panice zacisnęła palce.

Szyld sklepu Linn skrzyphiał, kołysząc się w wieczornej bryzie.

Boyce wyszczerzył poszarzałe zębiska.

– Hartuj się, duszko – oznajmił. – Słuchaj instynktów, a szybko pójdzie.

Następnie odwrócił się i kopnął w drzwi.



– Jak mogłaś być tak głupia? – krzyknęła Alodia na swoją jedyną przyjaciółkę.

Dobrze, że nie mogła siebie widzieć, choć doskonale wiedziała, jak wygląda w emocjach. W takich sytuacjach twarz robiła się jej niemal bordowa, na czole i szyi nabrzmiewały żyły, a przy każdym słowie strzykała śliną z ust. Prawdziwa groteska.

Przywiązali Linn do krzesła w jej sklepiku, spętali jej ręce, a następnie

WYKORZYSTYWALI TĘ, ABY OGRANICZAĆ  
ALODIĘ, CHOĆ DÓBRZE WIEDZIĘLI, ŻE  
MÓGŁABY PÓPRÓWADZIĆ CAŁĄ OPERACJĘ  
SAMA. PÓWTARZALI, ŻE BRAK JEJ  
INSTYNKTU ŁOWCY. ZABÓJCY.

przewrócili kobietę i przycisnęli do ziemi. Tylko po to, żeby ją przestraszyć. W sklepiku panował bałagan. Sterty wełny i króliczego futra otaczały krosno na tylnej ścianie. Skóra zwisała w nierównych pasmach, na samotnym biurku stały słoiki z barwnikami, a na podłodze leżała słoma. Sufit się zapadał i zachodziła realna obawa, że mieszkańcy piętra wyżej zaraz na nich runą.

W otwartej komodzie leżały starannie złożone metry delikatnego jedwabiu – wysepka porządku w panującym wokół chaosie.

Alodia rozpoznała partię z dostaw od rodziny. Gestem wskazała na izbę.

– Daliśmy ci to wszystko. Jedyne, co musiałaś zrobić, to płacić na czas.

Linn nie mogła powstrzymać łez. Jej drobna twarz miała kształt jabłka, a szloch sprawiał, że wydawała się jeszcze mniejsza. Na szyi nosiła misternie zawiązany niebiesko-złoty fular, a krótkie kasztanowe włosy pielęgnowała pudrem różanym i woskiem, który ukradła garbarzowi. Alodia wiedziała o tym, bo stała wtedy na czatach.

Linn popatrzyła na nią błagalnie. *Dobrze*. To oznaczało, że będzie uległa. Alodia położyła rękę na krześle, jakby chciała podnieść przyjaciółkę.

– Jeśli oddasz nam dwie stowy w ciągu miesiąca...

– Niech nie składa obietnic, jak nie umie dotrzymać – przerwał jej Boyce. Był chamem i wcale tego nie krył.

Linn natychmiast zrobiła wyzywającą minę. Na tyle, na ile mogła, przygnieciona do ziemi przez Alodię.

– Daruj sobie, kulfonie – splunęła. – Mam nadzieję, że koty twojej matki wydrapią jej ślepią, a potem demony pożrą te sierściuchy.

Linn nie była chamska, ale czasami ją ponosiło. Miała też rację: matka Boyce'a była okropna.

Boyce nie odpowiedział, tylko rozchylił poły i wyciągnął młotek z podwójnie



plaskim obuchem. Uderzał nim po kolei w słoiki z barwnikami, rozsypując szkło i kobaltową papkę po całym sklepie. Linn krzyknęła. Alodia zasłoniła oczy. Potem, gdy szkło przestało się sypać, sprawdziła, czy nie ma ran, ale nie poczuła żadnego zranienia.

Następnie Boyce wepchnął szmatę w usta Linn, odwrócił krzesło i podszedł z nim do biurka, cały czas trzymając młotek w ręce.

– Przestań – krzyknęła głośno Alodia, zanim zdążył zrobić coś paskudnego.

– A co za to dostanę? – Boyce ani na chwilę nie przestał wywijać młotkiem. Spoglądał raz na jedną, raz na drugą dziewczynę, jakby był ich problemem do rozwiązania.

Alodia spojrzała na twarz Linn: szeroko otwarte usta i oczy, zmarszczone brwi. Przerazenie.

– Nie tylko zwróci forszę. Po wszystkim da ci dodatkowe sto sztuk złota za fatygę. Za miesiąc. Prawda, Linn?

Linn skinęła głową. To był postępek. Jeden pokaz siły i...

Boyce zrobił długi, wyrachowany krok w stronę Alodii. Mocno ścisnął młotek.

– Wątpię, czy tak się nauczysz. Myślę, że... – przeciągnął oczekiwanie – ...że nie zastrzyżesz na pobłażliwość.

Serce Alodii waliło jak oszalałe. Miała nadzieję, że nie widać było tego po jej twarzy. Musiała rozliczyć i swoją pijawkę, i siebie.

– Dobra – powiedziała. – Linn zapłaci za dwa tygodnie. Osobiście przyjdę odebrać dług. I będę zajmowała się twoimi listami przewozowymi przez miesiąc. – Ustępstwo. Czasami ustępstwa mogą być dobre. Pokazywały, że szanujesz drugą stronę.

– Naprawdę nie masz instynktów – odpowiedział Boyce niemal ze smutkiem i mocniej zacisnął palce wokół młotka.

Jego matka z sentymentem mówiła o instynktach, więc Boyce też. Wykorzystywali to, aby ograniczać Alodię, choć dobrze wiedzieli, że mogłaby poprowadzić całą operację sama. Powtarzali, że brak jej instynktów łowcy. Zabójcy.

Ale Alodia go miała. Udowodniła to.

Jednak tylko w pewnych granicach.

– Myślę, że skoro ona chce nam odebrać środki do życia, to my powinniśmy odebrać jej. To ma sens. – Boyce obrócił się, uniósł młotek i spojrzał na Linn,

skuloną pod krzesłem.

Linn cofnęła się i jęknęła coś przez knebel.

– Proszę – przetłumaczyła Alodia.

Boyce przytrzymał krzesło, aby się nie przewróciło.

Alodia wiedziała, o czym myśli. Instynkty wzięły górę.

– Jesteś imbecylem. Jeśli połamiesz jej kłykcie, jak zdobędzie forszę?

Uderzył młotkiem. Mocno.

Linn szarpnęła się. Wszystko, co próbowała powiedzieć, było nieartykułowanym bełkotem. Nie tylko z powodu knebla. Po prostu nie mogła się powstrzymać. Bo za bardzo bolało.

Drżała i śliniła się, gdy Boyce podniósł krzesło i odpiął jej nadgarstki. Prawe knykie Linn były zmiażdżone, a zewsząd płynęła krew – spod paznokci, z poszarpanych, małych ran rozdzierających jej skórę. Kołysała się w przód i w tył, przyciskając do piersi zranioną rękę i przytrzymując ją drugą.

Alodia nie chciała na to patrzeć. Zmusiła się, by spojrzeć na Boyce'a, który, poza odrobiną potu, wyglądał na niewzruszonego, jakby nic się nie stało.

– Teraz nie dostaniemy nic. – Rzuciła mu nienawistne spojrzenie. – Mniej niż nic, ty idioto.

Boyce tylko wzruszył ramionami.

– Zapłaci. Mam szybszy sposób na odzyskanie pieniędzy niż czekać kilka tygodni. – Pociągnął Linn w stronę drzwi. Wciąż zawodziła zza knebla.

Jego nonszalancja sprawiła, że Alodię zmroziło.

– Dokąd ją zabierasz?

Co on sobie myślał? Sprzedać ją do domu uciech? Sprzedać ją na roboty? Z tak zniszczoną ręką?

Boyce ponownie zignorował Alodię.

– Ona nie jest już twoim problemem.

Następnie kopnął leżącą u jej stóp torbę. Słoma zawirowała w powietrzu. – Weź jedwab, zabierz wszystko, co wartościowe, i wracaj do domu. Pogadamy jutro.

Twarz Alodii poczerwieniała. Powinna go zatrzymać. Uderzyć. Zrobić coś.

Ale był bliżej spokrewniony.

Linn nie odrywała wzroku od Alodii, gdy Boyce wyciągał ją ze sklepu.





Alodia przeszła przez slumsy, jakby wyrывała szwy. Powoli. Tą samą drogą, którą przysła. Czuła więcej, niż chciała.

Nigdy nie zavracała sobie głowy pomaganiem pijawce, gdy rozliczanie nie poskutkowało. Ale Linn nie była pijawką. A przynajmniej nie zwyczajną pijawką.

Nie chwaliło się talentu pijawki przed rodziną. Nie zapraszało do wspólnego stołu.

Kiedy pijawce dobrze się powodziło, we dwójkę nie ruszało się do bogatszych dzielnic, w ubraniu lepszym niż szlachty. Lubieżnicy i trubadurzy nie smalili cholewek do pijawki i jej towarzyszki. Ich noce nie kończyły się tak późno, że słońce wstydiło się pokazać swoje oblicze.

Nie obiecywało się pijawce, że będzie się o nią dbać. Ani ona nie obiecała tego samego.

Może Linn myślała, że będzie traktowana przez rodzinę w szczególny sposób, ponieważ były sobie bliskie. A może Alodia pozwoliła jej tak myśleć.

Tym razem trzymała się więc daleko od Boyce'a, poza zasięgiem wzroku, kryjąc się wśród rozsianych po Alei Lamentów chat, dopóki droga wiodąca ze slumsów się nie wyprostowała. Alodia szła chaotycznie – jak włóczęga, nie łowczyni. Kiedy Boyce spotkał się z kilkoma innymi osobami i razem wepchnęli coś ciemnego i zawiniętego na wóz, Alodia tylko nieznacznie przyspieszyła kroku. Włóczęga z celem.

Wóz jej kuzyna toczył się po brudnym bruku, na północny-zachód. Cztery postacie, czyli wstęp do większego transportu. Ich wieczór nie dotyczył tylko Linn.

Ale oddalali się od portu. Co znaczyło, że nie zamierzali wystać jej na Żółcibagno. Dobrze.

Alodia śledziła ekipę Boyce'a przez godzinę. Nie zatrzymała się, dopóki wóz nie wyjechał za ziejącą bramę północną z jej krzykliwymi niebiesko-zielonymi sztandarami, i nie wtoczył się na szlak. Alodia skradała się w ciemności – nie mogła się już skryć w slumsach – i wzdrygała się na każde pohukiwanie sowy. Małe punkciki pochodni prowadziły ją ze szlaku w stronę lasu, gdzie zapach morza ustępował miejsca bogatemu zapachowi gnijącej ziemi.

Potem czekała. Dała Boyce'owi i jego ludziom trochę czasu na przejechanie dalej, zanim znów ruszyła. Alodia miała dość dobre pojęcie o tym, dokąd zmierzają.

Rodzina utrzymywała postój wiele mil za miastem, w najmniej zalesionej części Soliboru, gdzie wymieniano jeźdźców i ładunek przed wyruszeniem w dalszą podróż. Alodia przeszła tę drogę więcej niż raz.

Postój był dobrze ukryty, dokładnie tam, gdzie zaczynał się gęsty kordon drzew. Boyce otrzepał ręce za dużym, czterokołowym powozem. Dwa inne stały kilka jardów dalej. Wszystkie trzy były obite gładką skórą, z otwartym tyłem, ale przyciemnione w środku, z ukrytym ładunkiem.

Alodia słyszała rżenie i tupot koni oraz stłumione rozmowy między woźnicami. Przykucnęła nisko na leśnej ziemi, wśród robactwa, mchu i zgnilizny. Krzewy i jeżyny szarpały jej skórę.

Boyce i jego ekipa, zgarbiony Lachlan i dwóch innych grubasów, odwrócili się i ruszyli w jej stronę w ciemności, dzierżąc ciężkie pałki i pochodnie. Dopiero wtedy Alodia przypomniała sobie, że niektórzy członkowie rodziny przyszli z gangów nożowników.

Mieli ponure miny i milczeli jak zakłęci. Zazwyczaj przekazanie pieniędzy wiązało się ze złymi nastrojami. Rozmawiali najwyżej o tym, jak wydadzą forszę. Szli szybciej niż w drodze na górę, kręcąc głowami jak susły. Jakby chcieli zostawić to miejsce za sobą.

Alodia ugryzła się mocno w język. Poczowała pulsowanie, gdy zbliżali się z pochodniami, rozświetlając noc. Lada chwila znajdą ją ukrytą w krzakach.

Spojrzała na Boyce'a. Naprawdę przeszła go wzrokiem. Był bliżej spokrewniony, ale nie niezwykłony. Miał tak rozszerzone źrenice, że jego oczy wydawały się zupełnie czarne. Miękkie jak galareta. Gardło kuzyna wyglądało na wystarczająco wąskie i nagie, by Alodia mogła je zmiażdżyć. Szkoda, że nie pomyślała o zabraniu ze sobą pałki, ostrego kija, czy choćby nawet garści potłuczonego szkła ze sklepiku.

Szedł prosto na nią. Alodia zacisnęła pięści i ugięła kolana. Gdyby ją znalazł, uderzyłaby pierwsza.

A potem co? Pozostali pewnie zmiażdżyliby jej kłykcie. Sprzedali do pracy. Boyce wcale się nie mylił – nie miała instynktów. Udawała.

Albo nie słuchała instynktów wystarczająco uważnie. Odwróciła jego uwagę. Pozwoliła mu się zignorować i myśleć, że ten występek uszedł mu na sucho – dała

# MOŻE SŁUCHANIE INSTYNKTU W DUŻEJ MIERZE POLEGAŁO NA IGNOROWANIU KONSEKWENCJI.

sobie okazję. Instynkty wiedziały.

Alodia bezdźwięcznie przycisnęła ciało do ziemi.

Ekipa przemaszerowała obok kryjówki Alodii. Nikt się nie zatrzymał ani nawet nie zwolnił kroku. Światło ich pochodni zniknęło z pola widzenia. Alodia znów znalazła się w cieniu i mogła odetchnąć. Koła zaskrzypiały, wzbijając tumany kurzu, a konie, ponaglone trzaskiem batów, pociągnęły trzy wozy naprzód.

Gdyby wyszła za szybko, rodzina by to zauważyła. Ale gdyby konie przyspieszyły, nigdy by nie zdołała ich dogonić.

Nie odrywając wzroku od ekipy Boyce'a i wyobrażając sobie, że wciąż są odwrócenie plecami, Alodia podkrađła się do najbliższego powozu. Wstrzymała oddech i zmusiła się, by nie kaszlnąć, gdy jej nozdrza zaatakował koński smród i leśna zgnilizna.

Na przedzie każdego powozu siedział woźnica z długim batem i parą zamontowanych pochodni. Wydawali sobie nawzajem polecenia. Gwizdali. Krzyczeli. Byli zajęci. Konie zaczęły galopować.

Może słuchanie instynktów w dużej mierze polegało na ignorowaniu konsekwencji.

Alodia zerwała się do biegu. Postawiła nogę na stopniu z tyłu powozu i poderwała się do góry. Wylądowała twardo na brzuchu i straciła dech.

Dobrze, że zabrakło jej tchu i nie mogła nawet westchnąć, biorąc pod uwagę piekło, które zastała.



Wnętrze powozu było obrazem rozpacz. Ciała leżały jedno na drugim, przygniecione do ścian. Poszarpane, szare postacie, wydające z siebie świszczące oddechy, przywiązane do żelaznych słupów niczym króliki. Kilka z nich nie miało butów, ich stopy były połamane i purpurowe, a dłonie roztrzaskane ze zwisającymi



paznokciami. Większości zawiązano oczy; wszyscy byli zakneblowani. Kręcili głowami w ośpieniu. Oświetleni małąkami nitkami światła pochodni z góry, bardziej przypominali upiory niż ludzi.

Matka Boyce'a – cała rodzina, w tym Alodia – wysyłała wiele rzeczy. Rzeczy zakazanych. Ale to wykraczało poza wszelkie wyobrażenie.

Alodia musiała w końcu, z wielką niechęcią, nabrać powietrza.

Nie mogła ustać na nogach, i to nie tylko dlatego, że czuła ucisk w żołądku. Powóz poruszał się szybko. Toczył się na bezdrożu, a konie ciągnęły go prosto na północ, gdzie drzewa były gęstsze. Jeśli pojedą dalej, trafią w nieprzejezdne rejony Soliboru. Dokąd, do diabła, jechali?

Alodia rozejrzała się gorączkowo po twarzach potępieńców, unikając niezbarnych spojrzeń tych, którym nie zastronięto oczu. Nie rozpoznała nikogo. Prawdopodobnie byli pijawkami. Z pewnością nie były to jej pijawki.

Poczuła panikę, jakby miała zacząć szlochać, ale instynkty jej na to nie pozwalały. Tylko gardło jeszcze bardziej jej się ścisnęło.

Linn leżała z tyłu, na dwóch innych pojmanych. Miała zamknięte oczy, była związana i zakneblowana. Wciąż.

Alodia uniosła się nieco i kucnęła przy niej.

– Sza – szepnęła do reszty więźniów, przyłożywszy palec do ust. Miała wrażenie, że to nie ona mówi. Słyszała swój głos, jakby dochodził z zewnątrz.

– Muszę się do niej dostać. Potem pomogę. – Przycisnęła dłoń do piersi dla podkreślenia słów. Ale czy mogła pomóc tym nieszczęśnikom? Czy miało to znaczenie?

Ponownie rozległo się stłumione mruknięcie woźnicy. Zza ściany dobiegł drżący, żałosny wdech. Alodia miała nadzieję, że jej nie słyszał.

– Nie hałasujcie. – Postarała się, aby rozkaz zabrzmiał stanowczo, mimo że wydała go szeptem.

Alodia posuwała się naprzód niemal po omacku, starając się nie dotykać okaleczonych kończyn nieszczęśników. Gdy znalazła się blisko przodu powozu, zobaczyła, że Linn drgnęła i poczuła ulgę.

Linn miała napuchnięte oczy. Obejrzała się jednak i dostrzegła Alodię. Przyjaciółka nie była odurzona – miała szczęście, że dołączono ją do dostawy na ostatnią chwilę. Mimo to szmata w jej ustach została zamieniona na skórzaną

WRZASK NA ZEWNĄTRZ PÓWÓZU  
ZACZAŁ SIĘ ZMIENIAĆ. ZASTĄPIŁ  
GŁOŚNĄCY, NISKI BULGOT. ALODIA  
USŁYSZAŁA SZALEŃCZE SKRĘBANIE I  
INNY, GARDŁOWY WRZASK, A PÓTEM  
CISZĘ.

knebel, a obie jej ręce mocno przywiązano do słupa.

Jej prawa ręka wyglądała makabrycznie, była paskudnie fioletowo-żółta i spuchnięta. Z pewnością połamana. Prawdopodobnie nie do wyleczenia. Na sprawne działanie dłoni składało się wiele elementów.

Liście i gałęzie szorowały po bokach powozu. Las stawał się coraz gęstszy. Alodia starała się ostrożnie rozwiązać nadgarstki Linn. Potem uwolni jej stopy, a następnie zdejmie knebel. I uciekną.

Kiedy walczyła z więzami Linn, ręce Alodii drżały. Mimo że potrafiła je kontrolować, równie dobrze mogłyby należeć do kogoś innego. Przynajmniej brzydkie rękawice wchłaniały jej pot. Ale było tyle węzłów! I żadnych strzępień. To trwało zbyt długo.

Z frustracji spróbowała przeciągnąć jedną z pętli przez nadgarstek Linn. Linn jęknęła przez knebel i zacisnęła oczy, nabierając w panice powietrza. Cierpiała tylko bardziej.

Wtedy Alodia usłyszała krzyki woźnicy i powóz zaczął zwalniać. Szarpnęła gorączkowo za więzy przyjaciółki.

Skape światło pochodni nad nimi zniknęło. Ktoś zeskoczył z siedziska powozu na leśną ściółkę, grzęznąc w ziemi. Alodia obróciła się ku tyłowi powozu, ale kroki szybko przeniosły się na przód, po czym rozległy się odgłosy wyprzęganych koni, które chrapnęły hałaśliwie. Następnie woźnice pobiegli.

Nikt nie wszedł do powozu. Czyżby więźniów porzucono?

Linn próbowała coś powiedzieć przez knebel. Znając ją, byłby to żart na temat zmasakrowanej ręki. *Wygląda pięknie, prawda?* A może byłaby wściekła. Miała do tego prawo.

Alodia uwolniła zdrowy nadgarstek Linn i wyrwała knebel.

– Nie wysyłają nas – wyszeptała Linn, szarpiąc się. – Jesteśmy przynęta.  
Na zewnątrz Alodia usłyszała trzask drewna rozpadającego się w wielu miejscach naraz, uderzenia niczym tumult siekier spadających na cały las.  
Jeden przerażony krzyk rozdarł powietrze. Następnie rozległ się cały ich chór.



Minuta zdawała się trwać godzinę. Wrzask na zewnątrz powozu zaczął się zmieniać. Zastąpił go mokry, niski bulgot. Alodia usłyszała szaleńcze skrobanie i inny, gardłowy wrzask, a potem ciszę.

W dziewczynie obudziły się instynkty. Każdy impuls zamienił się w strach. Oddech palił ją w płucach. Ledwo mogła się poruszyć. Drżała.

Jedną sprawną ręką Linn w milczeniu zmagala się z więzami wokół stóp. Poruszała się z trudem, wolniej niż śmierć, która ich prześladowała. Nigdy nie uwolniłaby się sama.

Uwięzieni też się ożywili – rozglądali się ospale albo próbowali zwlec się ze swoich miejsc, wykręcając liny i śliskie od potu skórzane pasy.

Alodia chyba jako jedyna w powozie zdołała się podnieść. Mogła swobodnie pobiec. Linn spojrzała na nią z zastanowieniem. Pytająco. Miała do tego prawo.

Przyjaciółka tylko skinęła głową, gdy Alodia pochyliła się i wsunęła kciuk pod więzy na jej stopach. W ciszy pracowały nad tym razem, aż powolne szuranie czegoś ciężkiego, wlokącego się po ziemi, zaatakowało ich uszy. Alodia o niczym innym nie mogła myśleć, gdy przeciągała linę przez lewą stopę Linn, trąc jej skórę.

Dopóki przód wozu nie został rozdarty na pół.

Drzazgi eksplodowały wokół nich. Alodia zatoczyła się, ciągnąc Linn za ramię.

Powóz się przechylił. Trzech skazańców zniknęło w ciemności, wyrwanych ze swoich stanowisk. Zawszad rozległy się krzyki.

Alodia dostrzegła poczerwiałe dziąsła i rzędy zębów. Kolczasta, czerwono-czarna macka przesunęła się przez wyrwę w ścianie i złapała ją za ramię. Dziewczyna wyszarpnęła się jej boleśnie, a macka odskoczyła, by odciągnąć kolejnego pojmanego poza zasięg wzroku. Alodia nie spojrzała na pozostałych więźniów,



tylko pociągnęła Linn za sobą. Wybiegły przez przechylony tył wozu.

Linn stawiała dziecięce kroczki i utykała, nogi jej zdrętwiały w pętach. Ramię Alodii zabolalo, gdy ruszyły przed siebie, w głąb lasu, którego żadna z nich nie rozpoznała. Za sobą zostawiały wraki trzech powozów, poplamione krwią gęstą jak żółtko. Na jednym z nich sterczała uparcie płonąca pochodnia, przez co wóz przypominał upiorną świecę.

Ciała ofiar rodziny leżały wszędzie wokół. Czerwone wnętrzności plątały się za nimi jak sznurki marionetek. Wszyscy martwi, półmartwi i jeszcze żywi wili się na ziemi, w takt własnych ruchów i odgłosów.

Z walącym sercem Alodia ciągnęła Linn po glinie, głębiej w mrok Soliboru, tak szybko, jak pozwalały jej na to instynkty.



*Plugastwo przemierzało Solibór z krwią na szponach. Przycupnęło nisko przy ziemi. Poruszało się ciszej niż szept.*

*Drzewa tłumily światło księżyca, ale plugastwa to nie odstręczało. Jego oczy były stworzone do ciemności.*

*Tak jak wiele razy wcześniej, zatrzymało się przy masakrze, która miała miejsce wiele godzin temu – przy dwóch ciężko rannych truchłach, z ciałami poszatkowanymi przez pazury i kły. Skóra, która pozostała na szczątkach, była kolczasta, zmieniona.*

*Ciała leżały na brunatnej od posoki ziemi. Oba były nieruchome. To ważne.*

*Plugastwo szturchnęło truchła, po czym przebiło szponem jedno z nich. Wbił się z chrzęstem. Zwłoki nawet nie drgnęły, zdążyły zeszywnieć.*

*Następnie stanęło nad drugim ciałem. Powtórzyło czynność.*

*Ten trup otworzył szeroko zwichniętą szczękę i zasyczał, a zgniły śluz wypłynął mu spomiędzy zębów. Niczym umierający owad, miotał się, uderzając plugastwo wszystkimi kończynami. Nawet w tym stanie jego uderzenia były brutalne. Wyrostki spod skóry, ostre jak brzytwy, drapały skórę plugastwa, ale nie mogły znaleźć punktu zaczepienia.*

*Plugastwo się cofnęło. Trup padł nieruchomo z głośnym chrzęstem. Oczodoły zmarłego były zapadnięte, pokryte dookoła czerwonym śluzem. W całym tym szale powieki ani razu się nie otworzyły.*

*Plugastwo podniosło się i ruszyło dalej, omijając słodki dym i zgniliznę. Wypatrzyło rozrzucone ślady, ciągnące się na wschód w największą gęstwinę lasu. Rozgrzebało ziemię, zatrzymało się i wzięło wdech.*

*Jeszcze dwie. Obie zakrwawione.*

*To nie był koniec polowania.*

*Cienie zakłębiły się, gdy plugastwo zniknęło w ciemności.*



Alodia i Linn uciekły przed nocnymi potwornościami. Ciemność była nieprzenikniona. Z każdym krokiem las wokół nich zdawał się coraz większy.

Alodia prowadziła Linn, polegając jedynie na instynktach. Żadna z nich nie miała kontroli nad tym, co się dzieje.

Wydawało im się, że uciekają od wielu godzin, nęcane trzaskiem zarośli i mokrymi, zdziczałymi warknięciami. Włosy na karku Alodii jeżyły się raz po raz. Miała wrażenie, że jest obserwowana, ale nie wiedziała skąd. Ani przez kogo.

Często musiały się zatrzymywać. Linn zwalniała, by złapać oddech. Albo upadała, zanim Alodia zdołała ją chwycić. Rana na jej ręce zaczęła mocno krwawić na szmatce, służącej za prowizoryczny opatrunek, pojawiły się plamy krwi.

– Myślisz, że zniknęło? To... to coś? – zapytała Linn. Leżała na trawie, starając się nie oddychać za głośno.

– Lepiej zachować ostrożność – odparła Alodia.

Linn tylko skrzywiła się i pociągnęła za prowizoryczny bandaż, by zmienić jego ułożenie, jakby to miało coś poprawić.

– Nie jest tak źle. Boyce robił o wiele gorsze rzeczy – powiedziała Alodia, a potem pomogła wstać przyjaciółce.

– Teraz mi pomagasz? – Linn uśmiechnęła się szyderczo, podnosząc się z jeżyn.

– Jestem tutaj, prawda? – odburknęła Alodia. Nie miała czasu, by pilnować

swoich manier, bo starała się, aby obie pozostały w ruchu. – Ostrzegłabym cię, gdybym wiedziała, co się kroi.

Linn zamilkła.

Ustępstwa mogą być dobre. Spróbowała jeszcze raz.

– Gdybym wtedy cokolwiek zrobiła, prawdopodobnie Boyce zabiłby nas obie.

Linn popatrzyła na nią w osłupieniu. Może była zła na siebie, że nie zdawała sobie sprawy, w jaki koszmar je obie wpędza. A może złościła się tylko bardziej na Alodię, że jej na to pozwoliła.

– Wiesz, zazwyczaj ci mądrzy płacą na czas. – Alodia naprawdę nie chciała, żeby jej głos zabrzmiał tak krytycznie. Nie udało się.

Linn odsunęła się od niej i poszła sama. Ruszała się jeszcze wolniej.

– A ty nigdy nie miałaś ciężko, co, panienko Alodio? – odparła Linn. – Nikt nie chciał przychodzić do Alei Lamentów od miesiący. Próbowałam przyjmować zamówienia w Wysokiej. Był zastój.

Wbrew sobie, Alodia poczuła przyływ instynktów, gotując się do walki, którą mogłaby wygrać.

– Więc uznałaś, że przeniesiesz swój dług na nas?

– Nas? – zapytała Linn z niedowierzaniem. – Wiesz, ile rodzina ma forsy. Zawsze mówisz o tym, jacy to gnoje – co cię obchodzi, że potrzebuję kilku tygodni więcej?

– Nie obchodzi – przyznała Alodia. Pozwoliła, aby wygasła w niej chęć walki. Linn zasługiwała przynajmniej na to.

Alodia wyciągnęła rękę, aby pomóc jej pokonać wypaczone korzenie.

– Kiedy przyjdą po twoją drugą rękę, ostrzeżę cię wcześniej.

Linn po prostu wpatrywała się w nią, z twarzą w kolorze popielatej nędzy.

– Nie żartuj sobie z tego.

Alodia posunęła się za daleko. Nie minął nawet dzień.

– Nie, dopóki sama nie zażartuję z tego kilka razy. – Linn uśmiechnęła się. – Najlepiej z publicznością.

Las stał się cichszy. Nieśmiało przeszły do powolnego marszu. Równym tempem.





WCZEŚNIEJ WIDZIAŁA, JAK WOŹNICE  
PUSZCZAJĄ KONIE. W SMUTNYCH O CZACH  
POGANIANYCH RUMAKÓW WIDAĆ BYŁO  
ZAUFANIE. ALE PRZYNAJMNIEJ TO  
WSPOMNIENIE POTRAFIŁA STŁUMIĆ. JEDNAK  
CIAŁA WIJĄCE SIĘ PRZY POWOZACH,  
PORUSZAJĄCE SIĘ NICZYM MARIONETKI...  
TEGO NIE POTRAFIŁA ZAPOMNIEĆ.

Przez kolejną godzinę nie słyszały żadnych odgłosów pościgu i nie ujrzały żywego ducha. Las zdawał się pozbawiony typowych odgłosów i nic nie wskazywało, aby noc miała ustąpić lub gęstwina się przerzedzić. Obie dziewczyny trzęsły się z zimna.

Z oddali Alodia usłyszała charczące rżenie, jeden z koni zdychał z pianą w pysku. Gdy podeszły bliżej, zobaczyła, że miał rozdarty brzuch. Linn odwróciła wzrok i zasłoniła twarz zdrową ręką.

Alodia zatrzymała się, by pomóc jej oprzeć się o dąb, a potem przeszukała miejsce, w którym leżało zwierzę. Wróciła z pochodnią i skrzynką, po czym chwyciła Linn za ramię.

– Zamierzasz... – zaczęła, pozostawiając pytanie niedokończone.

Alodia ją zignorowała. Szybko odciągnęła je obie.

Wcześniej widziała, jak woźnice puszczały konie. W smutnych oczach poganianych rumaków widać było zaufanie. Ale przynajmniej to wspomnienie potrafiła stłumić. Jednak ciała wijące się przy powozach, poruszające się niczym marionetki... tego nie potrafiła zapomnieć.

Odgłosy wydawane przez zdychające zwierzę mogły odwrócić uwagę. Cokolwiek polowało na Alodię i Linn, na pewno chętniej zajęłoby się konającą zdobyczą.

Dziewczyna skręciła w przeciwną stronę i pociągnęła Linn na południe. A przynajmniej miała nadzieję, że na południe – korony drzew były zbyt gęste, przesłaniały gwiazdy. Ziarnista, mokra ziemia zaczęła ustępować miejsca skałom, odłamkom granitu, które drapały buty. Linn potykała się jeszcze częściej, oddychała

ciężej i coraz bardziej się garbiła. Alodia też potknęła się kilka razy. W ciemności szły ślamazarnym tempem, ale Solibór przerzedzał się, aż niemal zderzyły się ze ścianą.

Połączyły się o zimny, omszały granit. Kilkadziesiąt stóp od nich otwierała się paszcza jaskini. Schronienie.

Alodia poczuła ulgę. Ciągłe wrażenie, że są obserwowane, ustąpiło.

Położyła pochodnię na suchych skałach i pochyliła się nad nią z krzesiwem. Zaczęła uderzać w krzemień i stal, a następnie dmuchać na żalosny kawałek drewna, aż ten się zajął. Nie było łatwo, ale Alodia nie pierwszy raz zmagająca się z trudnościami. Wreszcie pochodnia stanęła w płomieniach.

– Chyba nie mówisz poważnie – odezwała się Lynn, drżąc. W jej głosie słychać było pytanie, a nie pretensje. Chciała się mylić.

– Mamy tak iść, aż padniemy? Będziemy bezpieczniejsze, jeśli nic się do nas nie podkradnie – stwierdziła Alodia. Popchnęła Linn do przodu.

Weszły do jaskini. Alodia trzymała pochodnię wysoko nad głową. Dotykały ścian jaskini, pozwalając, by je prowadziły. Potrzebowały jedynie niewielkiej otwartej przestrzeni, miejsca, w którym mogłyby przeczekać noc. Przyspieszyły kroku, a nadzieja dodawała im sił.

Światło pochodni było ich drogowskazem. Gdy szły, Alodia poczuła, jak żagiew ociera o sklepienie jaskini. Chciała trzymać ogień jak najwyżej, aby światło padało daleko.

– Jak długo jeszcze to potrwa? – wydyszała Linn. Gdy ustępował strach, w jego miejsce od razu zstępował ból.

Alodii tak zaschło w gardle, że musiało odchrząknąć dwa razy, zanim zdołała odpowiedzieć.

– Powinnyśmy zejść na tyle głęboko, by wykurzenie nas wymagało wysiłku. Gdzieś na otwartej przestrzeni, gdzie możemy mieć baczenie na wejście. – Alodia nie była pewna, choć wołała się do tego nie przyznawać. – Tam przez kilka godzin zdołam pełnić wartę i trzymać zapaloną pochodnię. Będziesz mogła trochę odpocząć.

Zostawiły za sobą oświetloną księżycem część tunelu. Ściany jaskini były wilgotne i zmurszałe, a kamień od czasu skrywał drobne koraliki wody, które sprawiały, że dłonie się ślizgały. Alodia nie chciała spać na ziemi. Ale jakoś

NAGLE UDERZYŁA JĄ GRŌZA, GDY ZDAŁA SŌBIE  
SPRAWĘ Z PAKTU, KTŌRY RŌDZINA MUSIAŁA ZAWRZEĆ.  
DZIEWCZYNA WIEDZIAŁA, ŻE FAMILIA DLA BIZNESU  
I ZYSKŌW GŌTŌWA JEST PŌŚWIĘCIĆ WIELE. ALE NIE  
MŌGŁA SŌBIE WYŌBRAZIĆ ŻADNEGŌ LUDZKIEGŌ  
USPRAWIEDLIWIENIA DLA SPRZEDAWANIA LUDZI TEMU  
CZEMUŚ. PIENIĄDZE? ŌCHRŌNA PRZED GŁŌDEM?  
ŌBŌWIAZĘK WYNIKAJĄCY Z PŌKREWIEŃSTWA?

sobie z tym poradzi. Linn musiała przetrwać.

Coś drapnęło w ścianę jaskini za nimi.

– Ciii. – Alodia odwróciła się z pochodnią i wyteżyła wzrok. W półmroku niczego nie dostrzegła. Ale zgrzyt niósł się z kierunku, z którego przyszły.

Wycofały się, gramoląc się dalej w głąb skalnego korytarza. Przed nimi rozdzielał się na dwie odnogi.

Alodia wybrała skręt w lewo, po czym upewniła się, że Linn znajduje się przed nią, i prawie ją popchnęła, byle tylko utrzymały się w ruchu.

Kolejny labirynt w ciemności. Alodia doszła do zakrętu, odbiła w prawo i zdała sobie sprawę, że zatoczyły koło. Wróciły w miejsce, w którym były wcześniej.

W jaskini rozległ się łomot przypominający uderzenie topora o kamień.

Alodię ogarnął ją paraliżujący strach. Stanęła i tylko wskazała Linn właściwy korytarz. To wszystko, na co było ją stać. Linn zerknęła na nią, a potem ponownie przed siebie. I zaczęła stawiać niepewne kroki. Ufała, że nie skończy jak te zdychające konie.

Stwór nie mógł zapędzić ich obu w kozi róg. Alodia poszła drugim korytarzem.

Trzymała pochodnię obiema rękami, najwyżej, jak się dało, uważając, by nie dotknąć mokrych ścian. Nie chciała widzieć tego, co rozerwało powóz na strzępy. Ale musiała, jeśli miały zyskać jakąkolwiek szansę na przeżycie.

Przez chwilę Alodia słyszała oddech Linn, a potem wyprzedziła dźwięk. Ucichło drapanie i uderzenia. Albo ona znajdzie to coś, albo zrobi to Linn. Alodia podążyła



za pochodnią nową ścieżką. Szła tak długo, aż zauważyła, że krople na ścianie zmieniły się i zatrzymała się, by się przyjrzeć.

Lśniły od czegoś bardziej czerwonego niż światło pochodni.

Alodia odwróciła się od ściany. Spoglądał na nią stwór. Z jego tułowia wystawały macki. Jego czarna paszcza najeżona była kłami i wieloma językami, z których każdy pokrywały zęby podobne do rekinich.

Ślepia tego monstrum spoglądały bezlitośnie, ale nie bezmyślnie. Zbyt przenikliwe. Zbyt ludzko. Zwiewne brokaty, które uchodziłyby za eleganckie sto lat temu, przylegały do strzępów na jego talii. Alodia widziała takie ubrania w domu matki Boyce'a. Przekazane przez dziadków ich rodziców.

Nagle uderzyła ją groza, gdy zdała sobie sprawę z paktu, który rodzina musiała zawrzeć. Dziewczyna wiedziała, że familia dla biznesu i zysków gotowa jest poświęcić wiele. Ale nie mogła sobie wyobrazić żadnego ludzkiego usprawiedliwienia dla sprzedawania ludzi temu czemuś. Pieniądze? Ochrona przed głodem? Obowiązek wynikający z pokrewieństwa?

Wściekła pchnęła pochodnię na bestię. Ogień był bronią Światłości. Dziewczyna zamachnęła się dwa razy, po czym rzuciła się do przodu, by odeprzeć potwora pochodnią, starając się zachować jak największy dystans.

Stwór nie wrzasnął ani nie cofnął się, gdy płomienie zaskwierczały na jego paszczy, tylko wbił ślepia w Alodię. Następnie wytrącił jej pochodnię i rozszarpał gardło zębami.

Uderzyła o ziemię powoli, jak kamień opadający na dno stawu. Zadygotała, gdy nie udało się jej zaczerpnąć tchu.

Alodia przyglądała się, jak Linn kuleje po drugiej stronie korytarza, w nikłym świetle porzuconej pochodni.

Stwór obrócił się, trzasnął swoimi mackami jak biczami, a Linn upadła z krzykiem.

Wyrostki przyciągnęły ją blisko. Stwór przysiadł, by się pożywić.

Głowa Alodii leżała w lepkiej, czerwonej kałuży. Czuła jak ciało jej drętwieje. Próbowwała się odwrócić, ale nie mogła.

Chwilę trwało, nim w końcu pograżyła się w ciemności.



*Ofiara wreszcie zaczęła się pożywiać. Jej uwaga została odwrócona.*

*Plugastwo obserwowało, jak dwie ocalałe z powozu poruszają się hałaśliwie przez las. U wylotu jaskini ta wyższa machnęła pochodnią, dając znak.*

*Plugastwo również obserwowało swoją ofiarę. Stary wampir, owinięty w resztki ludzkiego bogactwa. Sprytny, dzielący się swoimi zdobyczami z ludźmi w Królewskim Porcie – pozostający poza zasięgiem wzroku, handlujący przedmiotami i dzięki temu szybciej rozprzestrzeniający swoją zarazę.*

*Wampir kierował się instynktami. Nie znał umiaru. Nie akceptował odmowy. Szukał ocalałych.*

*Był zwinny. Plugastwo nie chciało walczyć z nim na otwartym terenie.*

*Ale dwie ocalałe weszły do jaskini. Pozwoliły się osaczyć. I w ten sposób dały mu szansę.*

*Z jaskini niósł się zapach krwi.*

*Przywrócił Zebedeuszowi zmysły.*

*Był wysoki, z dziobatym nosem i długimi, białymi jak chmury włosami, które zostawiał zwykle rozpuszczone. Miał szeroką, kwadratową twarz, gładką i bladą, z wyjątkiem najbardziej oczywistej oznaki klątwy – zapadniętych czerwonych oczu, otoczonych pajęczyną czarnych żył.*

*Zebedeusz nosił wypolerowaną zbroję, wystarczającą ozdobną dla dworu Starogo Kedżanu, z błyszczącymi karmazynowymi płytami wzdłuż tułowia. Ampułka na łańcuszku była przymocowana ciasno do pancerza, a fiolkę wypełniała zielono-niebieska woda z rzeki, w której omal nie zginął, osaczony przez bestie, gdy próbował w pojedynkę je odciągnąć. Oszczędzać innych – to najwyższe dobro, jakie znał, gdy był jeszcze dzieckiem.*

*Jego ekwipunek był nietypowy jak na polowanie w Soliborze, o wiele za ciężki, zwłaszcza dla kogoś, kto chciał poruszać się po lesie szybko i cicho. Jednak przez dziesięciolecia służył jako jeden z rycerzy krwi. Trudno mu było zmienić swoje nawyki, które stały się nie do odróżnienia od przysięgi. *Wszystko, co pozostało z mego życia, mierzzone wobec ciemności.**

*Za każdym razem, gdy jego podróz stawała się niemożliwa do zniesienia, wracał*

do przysięgi. Niewielu mogło ją złożyć z pełną szczerością. W agonii i w rozterce – on to przeżył. Zebedeusz zabijał przeklętych towarzyszy i wycinał zgniliznę z niewinnych, zanim zdążyła się zagnieździć. Życie po jego życiu było potworne. Stawienie mu czoła i pozostanie sobą wymagało chłodu w duszy. Nieugiętości.

Zebedeusz szeptem wypowiadał martwe sylaby w nocnym powietrzu. Cienie słoczyły się wokół niego jak mgła, tłumiąc brzęk jego nagolenników na kamieniu.

Krzyki z jaskini ucichły, ale Zebedeusz wciąż słyszał chrapliwe rżenie wampira, gdy ten się pożywiał. Rycerz krwi szybko przemierzył jaskinię – nie potrzebował światła, by odnaleźć drogę.

Tunel zwęził się, a do uszu rycerza docierało coraz głośniejsze rżenie. Niedaleko zakrętu wreszcie ujrzał nisko przygarbionego stwora, którego macki przyłgnęły do ciała jednej z ofiar niczym pijawki.

Zebedeusz nie spodziewał się, że ktokolwiek z powozu przeżyje, nawet te dwie ostatnie uciekinierki. Ale jeśli ich śmierć mogła dać mu niewielką przewagę nad wampirem, miał prawo czekać i obserwować. Nic nie było ważniejsze od wyeliminowania zagrożenia.

Zebedeusz potrafił zbliżyć się bezszelestnie i niepostrzeżenie, ale nie mógł ukryć swojego zapachu. Wampir odwrócił głowę, by na niego spojrzeć, i poderwał się na nogi, sycząc z ust pełnych postrzępionych języków.

Fioletowo-czarna lanca z cienia zmaterializowała się w dłoni Zebedeusza. Cisnął nią z całej siły. Zanim wampir zdążył odskoczyć, lanca wbiła się w jego gardło. Jego macki wystrzeliły w górę, usiłując wyrwać cień, który pożerał jego zimne ciało.

Gdzieś w duszy Zebedeusza klątwa uradowała się na widok rannej ofiary. Zduślił w sobie to uczucie.

Ruszył na wampira powoli, z ugiętymi kolanami i długą włócznią w zarękawiczonych dłoniach. Nie chciał czuć zgniłej krwi, którą była zbryzgana ta bestia; musiał zabić szybko, zanim jej rany zdążą się zagoić. Dźgnął, wybił dwie szybkie dziury w klatce piersiowej wampira i napiął mięśnie, by wykonać dwuręczny zamach.

Cztery ząbkowane macki owinęły się wokół gardła i ramion Zebedeusza, i przebiły skórę. Ból był bardziej druzgocący niż wszystko, czego doświadczył – sto małych wampirzych zębów otworzyło ssące rany, które paliły, rozprzestrzeniając się jak ogień. Gdy macki krwiopijcy zacisnęły się, włócznia wypadła z rąk



JASNŌWŁŌSA KŌBIETA. WYDAWAŁA SIĘ...  
DUMNA. NAWET WYNIŌSŁA. A JEDNAK  
ZEBEDEUSZ WIDZIAŁ, JAK ZMAGA SIĘ ZE SWŌIMI  
INSTYNKTAMI. ZNAŁA SWŌJE ŌKRUCIENSTWŌ,  
WYKŌRZYSTYWAŁA JE I ŌDWRACAŁA SIĘ ŌD  
NIEGŌ W RŌWNYM STŌPNIU.

Zebedeusza. Bestia rozrywała go na strzępy.

Macki spotkały się w środku jego ciała. Zebedeusz rozpląnął się w kałuży krwi.

Wampir zatrzymał się, szycząc i wymachując rękami. Podszedł i próbował wczepić się palcami w powietrze. Potem zawrócił w stronę ciała swoich ofiar, nienasycony.

Za nim uniosła się karmazynowa kałuża, amorficzna masa, która zaczęła formować się w ciało. Dłoń Zebedeusza pojawiła się palec po palcu i zacisnęła na długiej włóczni. Gdy tylko krew z niego spłynęła i ludzka postać powróciła, rycerz rzucił się wampirowi na grzbiet.

Zebedeusz starał się nie patrzeć, dźgając stwora raz za razem. Ale nie mógł się powstrzymać. Trzy dziury. Cztery. Pięć. Było coś urzekającego w ich symetrii, w perfekcyjnych wybuchach czarno-czerwonej posoki, która go oblewała. Uderzał z rozkoszą, żeby upokorzyć przeciwnika, zadając ciosy, których wróg nie chciał przyjąć do świadomości.

Dopóki macka nie zadrapała pamiętki na szyi Zebedeusza i nie zerwała łańcuszka ryngrafu. Ten wampir był już kiedyś ścigany przez rycerza krwi. *Wiedział.*

Zebedeusz padł na ziemię i złapał cenną pamiętkę na okamgnienie przed tym, nim roztrzaskała się o kamień. Kończyny wampira omotały rycerza, ale tym, co tak naprawdę go trzymało, była kłątwa. Skóra Zebedeusza rozciągnęła się i zmieniła; rycerz poddał się, by wyrosnąć w spierzchniętą masę mięśni i krwi, która rywalizowała z wampirem zarówno pod względem siły, jak i głodu.

*Plugastwo rozerwało ofiarę na pół, wyszarpnęło jej macki i gnijące ramię. Bordowe, krwawe szpony, w które zmieniły się dłonie rycerza, rozdarły wampira.*

*Ofiara była oblepiona połyskującą krwią. Wiła się uparcie. Próbowwała uciec. Daremnie.*

*Plugastwo atakowało w furii, raz za razem, i ani myślało zaprzestać.*

Zebedeusz potrząsnął głową jak pies. Ręce pulsowały mu w agonii. Ze wszystkiego, co odwracało jego uwagę, ból przynosił mu najwięcej jasności. Rycerz miażdżył ścianę jaskini – uderzał w nią tak mocno, że skruszył kamień na głębokość stopy.

Połowa ciała wampira leżała pod nim. Druga połowa zniknęła.

Krwawe ślady prowadziły z jaskini. Stwór uciekł.

Zasyczał i odwrócił się, by ponownie uderzyć w ścianę. Wampir był szybszy i wiedział o nim. Rycerz wciąż mógł spróbować go złapać. Gdyby ruszył teraz, może...

Jedno z ciał kobiet na ziemi drgnęło. Następnie, kilka sekund później, drugie. I znowu.

W jedności.

Kim były wcześniej? Może rodzeństwem? Kochankami, zważywszy na ich swobodny i pozbawiony ogródek sposób mówienia?

Przybył tu, by zabić wampira. Powstrzymać jego klątwę przed rozprzestrzenianiem się po świecie.

A jednak rycerz krwi i tak pozwolił, by się rozniosła z powodu *jego* wyborów. *Jego* braku powściągliwości. *Jego* klątwy, powstałej na długo przed tym, gdy chwycił za włócznie.

Co było najwyższym dobrem? Najlepszym zadośćuczynieniem?

Mniejsza kobieta, szatynka, była poszukiwaczką wrażeń, z poczuciem radości, które dobrze jej służyło. Wierzyła, że jest coś warta, nawet jeśli świat tego nie dostrzegał.

Jasnawłosa kobieta. Wydawała się... dumna. Nawet wyniosła. A jednak Zebedeusz widział, jak zмага się ze swoimi instynktami. Znała swoje okrucieństwo, wykorzystywała je i odwracała się od niego w równym stopniu.

Dobry początek. Położył włócznie i pamiątkę na ziemi, po czym uklęknął.



Alodia zadrzała. Chciała się poruszyć, oderwać od swoich myśli, od swojego

umysłu. Każda jej kończyzna zachowywała się, jakby miała własną wolę. Wzrok dziewczyny gubił się raz po raz, niczym maleńki przeblysłk w ciemności.

Wizje dryfowały wokół niej. Białowłosa mężczyzna, jego piękna zbroja oblepiona posoką.

– Umrzesz. – Jego głos nie był ani okrutny, ani życzliwy. Alodia nie rozpoznawała akcentu, a intonacja była prosta i szybka. – Zaraził cię. Przemiana będzie gorsza, niż możesz sobie wyobrazić.

Przetrzywał nad dziewczyną niewielką fioletową wypelnioną zieleniejącą wodą i odkorkował. W całej tej mgle i w ciemności jego ruchy były zarazem płynne i powolne.

– Mogę zapewnić ci spokój.

Chciała skinąć głową. Sama chęć nie wystarczyła jednak, by tego dokonać.

– Albo mogę dać ci czas. Lata. Dekady. Może nawet dłużej.

Alodia miała wrażenie, że jej ciało dryfuje gdzieś w oddali. Ledwo słyszała słowa. Ale przykuły jej uwagę.

– Nie pójdziesz łatwo – odezwał się znowu mężczyzna. – Będziesz trenować i polować. I umrzesz jako potwór, bardziej nędzny niż ten, który odebrał ci życie. Twój koniec nie stanie się lepszy ani dzięki złu, które pokonasz, ani dobru, które uczynisz.

*Dobru, które uczynisz.* Próbowwała odszukać Linn wzrokiem. Bez skutku.

Naglęca słowa znowu przykuły jej uwagę.

– Jeśli chcesz obudzić się do tego życia, ślubuj. Przysięgnij na swoją krew.

Alodia nie była w stanie mówić. Nie mogła się poruszyć. Odpowiedziała spojrzeniem.



Rytuał był pospieszny. Inkantacje oraz ablucje z fiołki, ciemność jaskini zatapiająca swe palce w oczach Alodii niczym coś żywego. Traciła i



odzyskiwała przytomność, mówiła i słuchała, zapamiętując jedynie fragmenty.

Z wielkim trudem, ale stanęła na nogi. Oddychała. Przesunęła językiem po zębach. Były normalne. Wyczuła puls. Krew wciąż płynęła. Spojrzała na białowłosego mężczyznę siedzącego ze skrzyżowanymi nogami kilka stóp od niej.

Pomiędzy nimi znajdowała się niewielka kałuża rosy. Alodia zdała sobie sprawę, że widzi w ciemności. Oczywiście, jak robiła to wiele razy, sprawdziła swoje odbicie.

Ranę na jej gardle zamykał brzydki szew. Jej oczy błyszczały jak rubiny. Otaczały je drobne żyłki w kolorze grobowej ziemi.

Poczuła ból nieodwracalnej zmiany i odpuściła. Pierwszą potrzebą było życie. Drugą...

Linn usiadła, jakby ją ktoś ją podciągnął. Jej ramiona zwiślały bezwładnie, a twarz była ziemista. Przez skórę szyi i ramion przebijały się kolce. Z jej gardła wydobył się chrapliwy, zwierzęcy odgłos.

Jeszcze nigdy wcześniej Alodia nie czuła się tak słaba.

– To, co mi zrobiłeś... – powiedziała urywając do Zebedeusza. – ...musisz też zrobić dla niej. Słyszysz?

Zebedeusz pokręcił głową.

– Jej przemiana jest zbyt posunięta. Wkrótce stanie się niewolnicą wampira. Przykro mi. Miałem czas tylko na jedną z was.

Alodii pozostało tylko dobro, które mogła uczynić. Powiedział to. Złożył jej obietnicę.

– Czy... czy jeśli zabijemy wampira, to ona...? – Jej głos brzmiał bardziej szorstko, jakby gardło nie zagoiło się prawidłowo.

Zebedeusz nie dał jej dokończyć:

– Gdy przemiana w pełni się rozpocznie, nie da się jej zatrzymać.

Alodii zrobiło się niedobrze. Łzy same napłynęły jej do oczu, bezcelowe jak zawsze.

– Dlaczego ja? Dlaczego nie wybrałeś jej?

Zebedeusz odwrócił wzrok.

– Niełatwo kroczyć naszą drogą, więc aby tego dokonać, musisz wiedzieć, kim jesteś. Jeśli się zapomnisz, choćby na chwilę, nie będzie powrotu. – Gdy znowu podniósł na nią wzrok, jego spojrzenie wydawało się odległe i nieobecne. –

Wyczuwam w tobie tę wytrwałość. Masz przynajmniej szansę.

Alodia podeszła do Linn, która wiała się jak ciała w powozie. Próbowwała zbliżyć się, poruszając rękami i nogami, które nie chciały się słuchać. Wydawała z siebie dźwięki, które nie były słowami.

Alodia spojrzała jej w oczy. Źrenice Linn rozszerzyły się i stały czerwone, przyćmiewając białka.

Linn nie mogła jej nic odpowiedzieć. A nie warto było mówić do siebie.

Okazały niebiesko-złoty fular na szyi przyjaciółki był poplamiony niemal nie do poznania. Alodia powoli odwinęła go, ściągnęła przez głowę i zawiązała na szyi, by zasłonić bliznę. I aby mieć pamiątkę.

Spojrzała ponownie na białowłosego rycerza. Bez pytania. Z akceptacją. Podał jej swoją włócznię.

Alodia wycelowwała grot w serce Linn. Czekwała na jakąś reakcję. Na zaufanie w oczach przyjaciółki. Na szczęście się nie doczekała.

*Zaufanie.*

Zamknęła oczy i pozwoliła instyktom działać.

